

Piotr Zaremba: Po co Stuhrowi Bruno Jasiński?

Co by nie powiedzieć złego o „politruckim” wymiarze „Balu manekinów”, Jasiński nie stosuje w nim typowej dla teatru postdramatycznego formy przemawiania (lub raczej wrzasku) ze scenicznej katedry do widowni. Prowadzi nas do stosownych morałów literackimi zakrętasami lekkiej jak pianka akcji. W tym względzie sowiecki agitator jest w stanie zawstydzić teatralną nowoczesność – pisze Piotr Zaremba.

Moja obecność na tym przedstawieniu to trochę kwestia przypadku. Zostałem zaproszony przez znajomą do Och Teatru na „Bal manekinów” Brunona Jasińskiego. Rzadko bywam w popularnych, komercyjnych teatrach warszawskich, gdzie wszystko rządzi się oddzielnymi prawami. A tu wszystko było niezwykle: sama sztuka, osoba reżysera, Jerzego Stuhra. Przede wszystkim osoba autora. I nawet moje wspomnienia związane z poprzednią, kiedyś znaną inscenizacją tego dramatu.

Stuhr nie wyłożył właściwie w programie teatralnym, co go szczególnie pociągnęło w tym utworze, poza trafnym spostrzeżeniem o jego oryginalnej formie. I poza wzmianką o przedstawieniu Janusza Warmińskiego z 1974 roku, z Teatru Ateneum. Którego główną zaletą miały być – cytuję Stuhra – udział w nim bardzo wtedy młodej Krystyny Jandy.

A ja przypominam sobie spór sprzed mniej ośmiu lat o to, że patronem liceum w Klimontowie (dziś województwo świętokrzyskie) jest właśnie Bruno Jasiński, który stamtąd pochodził (był synem żydowskiego lekarza). Ktoś tam dowodził, że to zasłużony „człowiek lewicy”. Ktoś inny, że był on po prostu ideologicznym komunistą, więc wyznawcą doktryny totalitarnej, i trzeba go wymienić na innego patrona. Rację miał ten drugi ktoś – i tabliczkę z Jasińskim zdjęto.

Kolejne, dużo starsze wspomnienie to piosenka Jacka Kaczmarskiego „Epitafium dla Brunona Jasińskiego”, w którym traktuje ginącego podczas marszu na Syberię pisarza bezlitośnie, złośliwie, zarazem oddając bezbłędnie sugestywny styl jego futurystycznej poezji. Pamiętam, że w latach 80. tekst niezłomnego, choć przecież lewicowego antykomunisty Kaczmarskiego: „a tu trup mój, biedaczek, zmarł już całkiem na kość”, wydawał mi się zbyt okrutny. No bo ostatecznie Jasiński był jednak ofiarą stalinowskiej czystki.

*Tekst sztuki jest co do
wymowy klasyczną
komunistyczną agitką,
pamfletem na burżuazyjny
Zachód, w szczególności na
zachodnią socjaldemokrację
przedstawioną jako
sprzedajna i zdemoralizowana*

Ale nawet w tym, co czytamy na jego temat w programie teatralnym wydanym przez Och niewiele jest cech dodatnich. Jasiński napisał „Bal manekinów” po rosyjsku, sam był w ZSRS klasycznym propagandzistą, a zginął jako

protegowany szefa NKWD Gienricha Jagody. Jedna kamaryla wymordowała inną. Co więcej, tekst sztuki jest co do wymowy klasyczną komunistyczną agitką, pamfletem na burżuazyjny Zachód, w szczególności na zachodnią socjaldemokrację przedstawioną jako sprzedajna i zdemoralizowana. Tak go zresztą zapamiętałem z lat 70. Wtedy to nikomu nie przeszkadzało. Grywało się komunistyczną literaturę. Ja zaś już wtedy miałem świadomość, że prawda jest inna. To socjaldemokraci wybrali dobrze ratując Zachód przed totalitarną rewolucją.

Zarazem tamto przedstawienie dawało się zapamiętać. Warmiński był sprawnym fachmanem, czarodziejem teatru. Skrzyło się efektowną, groteskową formą korzystając do maksimum z formalnej pomysłowości autora, nie związanego jeszcze sztywnymi dogmatami klasycznego socrealizmu. Koncept skonfrontowania zakonspirowanego balu (świata) manekinów z balem (światem) ludzi i przemiany manekina w człowieka jest sugestywny, wciągający i nawet dziś świeży, co zaś mówić o latach 70.

Co więcej, zapamiętałem dodatkowy paradoks. Oto publiczność słuchała tekstu jakby trochę na opak, wbrew intencjom nieżyjącego od blisko 40 lat Jasińskiego. Perory zarozumiałego, aspirującego do klasy wyższej, zdradzającego masę lewicowego posła Ribandela (wtedy grał go Marian Kociniak) odbierano śmiechami i komentarzami – jako drwinę z komunistycznej nomenklatury. Pomimo wzmianek o prawdziwych komunistach działających gdzieś w tle, w sztuce zdecydowanie tych dobrych. A kiedy jeden zawodowy działacz socjalistyczny nauczał na scenie innego pragmatyzmu, widzowie wręcz rechotali z własnych kacyków dostosowując kontekst do swoich

sympatii i antypatii. Tak wyglądała styczność między teatrem i polityką w czasach Gierka – pod spokojną, senną powłoką drzemał jednak, a chwilami budził się bunt. W każdym razie przekora.

Byłem ciekaw, co z tego zrobi Stuhr, znany przeciwnik obecnej władzy. Będzie próbował aktualizować? I co zechce powiedzieć o świecie Anno Domini 2019? Okazał się zaskakująco powściągliwy. Stępił ostrze klasowej krytyki na rzecz ogólnoludzkiej powiastki, jaki to zły jest świat oparty na hipokryzji i przywilejach. Zabawił się formą, zaciekawił tych, co sztuki nie znali – i tyle. Jak przystało na komercyjny teatr.

Ten spektakl to owoc pracy Stuhra ze studentami Wydziału Teatru Tańca w Bytomiu będącego filią krakowskiej Akademii Teatralnej. Znaczna część młodego zespołu grającego w Warszawie pochodzi właśnie stamtąd. Może dlatego szczególnie sugestywnie wypadły sceny z pierwszego aktu, kiedy manekiny próbują udawać ludzi. Rozkoszne są te wygibasy i pełne fantazji układy ciał podkreślające uroki teatralnej umowności.

Stuhr stępił ostrze klasowej krytyki na rzecz ogólnoludzkiej powiastki, jaki to zły jest świat oparty na hipokryzji i przywilejach

Akt drugi rozgrywający się wśród bezdusznych zdegenerowanych elit ludzkich wydał mi się już bardziej konwencjonalny.

Zarazem, inaczej niż

w przedstawieniu Warmińskiego, epatującym nieustannie obecnym na scenie tangiem „La Cumparsita”, sama muzyka nie odgrywa tu tak

znaczącej roli. Składają się na nią różne, dość przypadkowe utwory (m.in. Astora Piazzoli), puszczone cicho, jakby bez przekonania. Ale może i dlatego, żeby nie zagłuszyć aktorów, którzy przy wszystkich niewątpliwych swoich talentach zwłaszcza ruchowych, nie dialogują już tak głośno i dobitnie jak złożony z ówczesnych gwiazd zespół Ateneum z lat 70.

W teorii na scenie dominuje Maciej Stuhr – jako poseł Ribandel i jego sobowtór, manekin. Jest najbardziej rozpoznawalny, więc i oklaskiwany, ma nieco więcej tekstu niż inni. W praktyce jest to jednak solidna praca zespołowa, gdzie wszystkie postaci są trochę marionetkami. To określa granice tego utworu. Nawet po retuszu najbardziej krzykliwych, agitacyjnych partii to jest nadal prościutka opowiadka z banalnym przesłaniem: ludzie są straszni, a szczególnie ci bogaci i dzierżący władzę.

Skąd więc wyczuwalne zaciekawienie i podniecenie publiki? Bo ludzie w teatrze potrzebują takich historyjek. Z jednej strony wciągających samym pytaniem : „co dalej”. Z drugiej, wprawiających w ruch maszynię teatralnej umowności, która wciąż działa na wyobraźnię, chociaż kino uciekło tak daleko technologiczną przewagą komputerowych symulacji. Co by nie powiedzieć złego o „politruckim” wymiarze „Balu manekinów”, Jasieński nie stosuje w nim typowej dla teatru postdramatycznego formy przemawiania (lub raczej wrzasku) ze scenicznej katedry do widowni. Prowadzi nas do stosownych morałów literackimi zakrętasami lekkiej jak pianka akcji. W tym względzie sowiecki agitator jest w stanie, w każdym razie powinien, zawstydzić teatralną nowoczesność.

Na dokładkę Stuhr nie próbuje tego, co zrobił niedawno toruński inscenizator „Tanga” Mrożka, próbujący nam wmówić, że Edek to polski narodowiec. Mamy więc zwycięstwo normalnego, porządnego teatru. Choć ja nadal mam wątpliwości co do wskrzeszania Jasieńskiego – nie potrafię zapomnieć o kontekście antyburżuazyjnych i antysocjaldemokratycznych tyrad, które prowadziły, także samego autora, do gułagu. A co jak ktoś z młodych widzów zacznie się dopytywać o ideowo-polityczny kontekst? Jak mu wytłumaczyć, że tak i równocześnie siak?

Nieprzypadkowo w PRL grano „Bal manekinów” między rokiem 1959 i 1989 – 14 razy. W III RP na przestrzeni kolejnych 30 lat – tylko 7 razy. Ale najwyraźniej w poszukiwaniu swoistego „teatru środka” nawet sowiecki agitator z talentem może się przydać. Bo współczesnych autorów równie pomysłowych dramaturgicznych zabaw niewiele, ze świecą trzeba by ich szukać. Miał awangardzista z Klimontowa talent, chociaż źle go używał.

P. S. Pamiętam jak wiele lat temu Jerzy Stuhr powtarzał z aprobatą do kamery nauki swego mentora, wybitnego starego krakowskiego aktora Eugeniusza Fulde: „Można, owszem, „Hamleta” nago na strychu, ino po co”. I temu pozostał zasadniczo wierny. Nawet jeśli z powodów politycznych solidaryzuje się czasem z różnymi teatralnymi pseudorewolucjonistami.